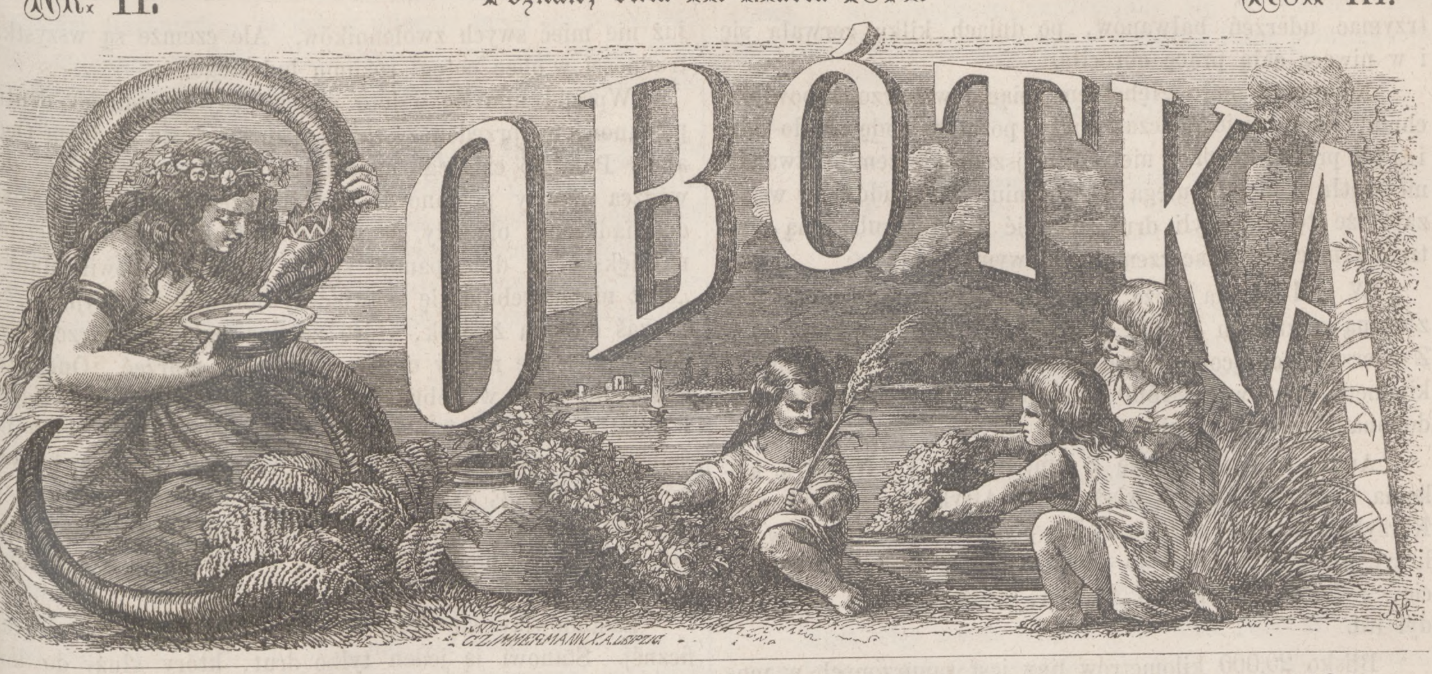
Nr. 11. Poznań, dnia 11. Marca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Telegrafy Podmorskie.

Nie tylko na polu odkryć nauka bieżącego wieku obudza nasze podziwienie. Jest jeszcze jedna, idąca z nią równolegle zdolność — a nawet czasami ją przewyższająca — Cierpliwość, czyli praca, podtrzymana siłą woli niezwyciężoną. Zdobycze umysłu ludzkiego zasadzają się nie tylko na teoryi, ale i na doświadczeniu, i jeżeli historya wieńczy skronie wynalazcy, zapomnieć nie może i o tym, który myśl jego w życie wprowadził.

Świat nowy, przed niedawnym czasem, połączony został niewidzialną nicią ze światem starym. — Działalność tych dwóch światów dotąd rozdzielona, zaczęła za pomocą téj nici spajać się silniéj z sobą — i w każdéj chwili rachować wzajemnie pulsa życia społecznego.

Z jakimże podziwieniem przywitaliby to dzieło Doktorzy 15 wieku, uważający Kolumba jako marzyciela i waryata! Co więcéj, ojcowie nawet nasi zaliczyliby projekt połączenia dwóch światów do snów dziwacznych, a chęć zrealizowania go za próżne marnowanie milionów. Tymczasem, w naszym wieku praktycznym, w pośród zabiegów politycznych zajmujących przeważnie umysły wszystkich, fakt połączenia telegrafem dwóch światów przeszedł prawie niepostrzeżenie. Jeżeliby starożytność na dzieło podobne zdobyła się, postawiłaby go bezwątpienia w rzędzie siedmiu cudów świata. — Lecz wiek nasz przyzwyczajony jest do tych nadzwyczajności. — Jeżeliby np. jaki nowy Montgolfier oświadczył zamiar podróży na księżyc i wzniósł się w krainy okiem niedoścignione, nie wierzylibyśmy, ale obok tego nie dziwilibyśmy się jego przedsięwzięciu. A jednakże cicha i nieustająca rozmowa dwóch światów z sobą, rzucenie myśli lotem błyskawicy o trzy tysiące kilometrów morza, jest faktem i faktem nie mało znaczącym a godnym naszego zastanowienia.

Telegraf podmorski, t. z. transatlantycki nie jest pierwszem tego rodzaju podmorskiem dziełem. Oddawna istnieją telegraficzne linie mniejszych długości i znaczenia, zaprowadzenie których rzuciło myśl połączenia w tenże sposób dwóch światów. Od r. 1839 urządzono taką komunikacyę między dwoma brzegami z Hougly do Bengalu i w krótce potém z Hudson do New-Yorku. Wprawdzie linie te przechodziły tylko przez szerokość rzeki, były jednak pierwszym stopniem do przyszłego dzieła.

Wiek prawie przed tą chwilą, Franklin w Filadelfii robił pierwsze doświadczenia telegrafu elektrycznego. W rok po zaprowadzeniu małéj linii indyjskiéj, Wheatstone zrobił projekt połączenia dwóch brzegów Wielkiéj Ciaśniny. W roku 1843 Mors pisał do rządu Stanów Zjednoczonych, przedstawiając środki nie tylko połączenia dwóch brzegów Ciaśniny, ale i przebycia największych odległości morskich.

Pierwszym i rzeczywistym telegrafem podmorskim, jest zaprowadzony przez Jakóba Brett w r. 1850. z Douvres do przylądka Grisnez. Długość jego wynosiło 40 kilometrów. Ale ta nić miedziana, okręcona gutaperką, nie mogąc wy-

trzymac uderzeń bałwanów, po dniach kilku zerwała się i w niwecz całą pracę obróciła.

Na morzu mało głębokiem, ciągle wzburzona powierzchnia, mianowicie podczas burzy, porusza wodę aż do dna, i z téj przyczyny przy nieco silniejszem uderzeniu bałwanów nić wątła z metalu ulega rozerwaniu. Doświadczenie wskazało, że tę nić czyli drut zastąpić należy grubą liną opatrzoną mocnym pancerzem metalowym.

W r. 1851 na tejże saméj linii zbudowano nową linę złożoną z czterech drutów oddzielnie i obwinięto gutaperką. Z wierzchu okręcono spiralnie drutem żelaznym. Liny téj kilometr jeden, ważył 4500 kilogramów. Opuszczenie w wodę dokonane zostało szybko.

Anglia dziś łączy się z kontynentem i z Irlandyą kilkoma liniami. Europa wiąże się z Afryką przez Spezzia, Korsykę, Sardynię i Bone. Do podmorskich telegrafów zaliczyć musimy z Malty do Aleksandryi, z Toulonu do Ajaccio, z Port-Vendres do Algieru, z Dardanelów do Kandyi itd.

Blisko 20,000 kilometrów liny jest zanurzonych w morzu — ale trudności przy opuszczaniu w wodę i wprowadzeniu w bieg, są tak wielkie, że zaledwie ¼ funkcionuje.

Zanurzenie liny długości 800 mil francuzkich, nastręczało trudności jakich dotąd przy wszystkich poprzednich nie spotykano. Lina ta ważyła do dwudziestu tysięcy beczek, czyli 20 milionów kilogramów. Jakiż okręt byłby zdolny ją przewieźć i jakiż mechanizm mógłby bez uszkodzenia ją utrzymać?

Przyznać potrzeba na chwałę ducha ludzkiego, że wytrwałość uwieńczyła zadanie pożądanym skutkiem. Niepowodzenie w r. 1858 nie zdołało odebrać odwagi przedsiębiorcom. Sprawdziły się na nich wyrazy powiedziane przez znakomitego inżyniera angielskiego: „Ci, którzy szczerze pragną uwieńczyć przedsiewzięte dzieło pożądanym skutkiem, rozpoczynają go aż dotąd dopóki się nie uda.“ Słusznie więc królowa angielska w swojém orędziu do parlamentu oświadczyła: iż jest szczęśliwa mogąc wypowiedzieć swoje uznanie dla energii przedsiębiorców, którzy niezrażeni żadnemi niepowodzeniami, przyprowadzili do skutku komunikacyę między dwoma światami.

W r. 1857 dwa najpiękniejsze statki wojenne na świecie, Agamemnon i Niagara ruszyły w drogę obładowane 4 tysiącami kilometrów liny; lecz na tym ostatnim zaledwie się od brzegu oddalił, lina w plątana w maszynę zerwała się. W r. 1858 okropna burza zaledwie nie pochłonęła Agamemnona, nieco przeładowanego. Jednakże już 5 Sierpnia zamiana listów między królową angielską i prezydentem przyszła do skutku; ale telegramy te tak były niejasne, że nikt jednego wyrazu pojąć nie był wstanie. Przez miesiąc cały jak się wyrażał Times zdolności telegrafu konały — aż nim zupełnie ich nie utraciły. Na koniec w r. 1865, lina w połowie drogi między Europą i Ameryką pękła.

Niepowodzenia takie mogły słusznie obawę wzniecać i od przedsiębiorstwa odstręczyć. Przeprowadzenie nitek pajęczych wśród światów nieznanych Oceanu, zdawało się już nie mieć swych zwolenników. Ale czemże są wszystkie trudności w obec potęgi rozumu ludzkiego.

Wprzód nim się wzięto do naprawy zerwanego drutu, postanowiono przedewszystkiem zapoznać się z dnem Oceanu. Pomimo ciagłego egzaminowania dna morskiego, dowódzca Maury postanowił raz jeszcze je zbadać. Nowe doświadczenia okazały, że w głębokości 3 do 4 kilometrów największy na dnie panuje spokój. „Tam,“ mówił Maury, „drut niepotrzebuje się obawiać żywiołów destrukcyjnych. — Co zaś do tych żyjątek, które ze dna sądą na wierzch wydobywamy, nie mogły one tam żyć ani umrzeć. One bezwątpienia żyły w pobliżu powierzchni, potrzebując ciepła i światła, tych dwóch potężnych źródeł życia i tylko po śmierci ich ciała spadły na dno Oceanu... każdy z bałwanów jest kolebką; życie się rozpościera przy grzbiecie jego — głębinie są polem wiecznego spoczynku tych istot... Na powierzchni kolebka wahająca się — na dnie nieskończona kostnica!“

Zastanówmy się teraz nad konstrukcyą liny telegraficznéj. Stanowi ją jeden tylko drut, który służy do korespondencyi tam i napowrót; składa się on z 7 nici miedzianych razem połączonych nakształt liny okrętowéj. Splecenie to jest w tém celu, ażeby w razie zerwania jednéj lub dwóch, reszta niezaprzestała czynności. Ten rodzaj liny metalowéj jest obwinięty przez całą swą długość czterema oddzielnemi pokładami guttaperki, nieczułéj na wodę, nakoniec to wszystko jeszcze skręcone jedynastoma sznurami żelaznemi i konopianemi.

Ta lina jest mocniejszą, lżejszą a mianowicie giętszą od przeszłéj. Ciężar jéj wynosi 860 kilogramów na kilometr, kiedy poprzedniéj do 1000 dochodził. Lecz, jak Archimedes powiedział, i jak czytelnicy dobrze wiedzą, każde ciało zanurzone w wodzie, traci ciężaru tyle ile wynosi kolumna wody zajmowanéj przez nie, więc i lina w wodzie znacznie musi być lżejszą. Wychodząc z téj zasady lina o któréj mówimy w wodzie morskiéj ważyła tylko na kilometr 408 kilogramów. Z obwinięciami i umocnieniami metalicznemi, nieliczące innych akcesoryi, ciężar cały liny wynosi 3,500 beczek.

Great-Eastern ten olbrzymi król morza, którego ogrom stawia opór poruszeniom bałwanów, którego długość wynosi dwa hektometry, którego pakunek obejmuje 22,500,000 kilogramów, którego maszyna ma 6 kotłów, 72 ognie i 3 piece, spożywające do 300 beczek węgli na dzień; ten olbrzymi statek był przeznaczony do złożenia liny telegraficznéj. Porobiono wszystkie środki ostrożności, a ponieważ miano porozumienie, że przy zakładaniu liny w r. 1865 ktoś przez złośliwość ją zepsuł, postanowiono za najmniejsze usiłowanie szkodzenia wyrzucić złoczyńcę w morze. — Statek z zewnątrz i wewnątrz oczyszczony został ze wszystkich niepotrzebnych dodatków, które mogłyby marsz jego utrudniać; — kolos ten jednak poruszał się zwolna — ale mógł łatwo awansować, cofać się i zatrzymać na rozkaz kapitana. Ponieważ uważano, że marsz roku zeszłego był za szybki, pastanowiono na godzinę nie więcéj posuwać się jak dziesięć kilometrów.

Przyrząd do zwracania okrętu był urządzony ze szczegól-

niejszem staraniem — w jednéj minucie mógł on zatrzymać się i zupełnie zwrócić. Zaprowadzono na nim stacyę telegraficzną, przez którą komunikowano się bezustannie z krajem.

W dniu 30 Czerwca 1866 w południe ta Babel Oceanu ruszyła w podróż; 13 Lipca przybyła do Walencyi. Kolos morski postępował z wolna, rzucają za sobą w głębokości czarne i spokojne Atlantyku, wężowe pierścienie telegrafu. Jedynymi świadkami tego wspaniałego widoku, były nieskończony firmament nieba i niedościgniona przestrzeń morza.

Był to wsród wód spokojnych tryumf ducha ludzkiego nad materyą, kiedy równocześnie na cywilizowanéj ziemi rozlegał się brutalny huk armat z pod Sadowy.

Dziwny doprawdy kontrast człowieka! Jedną ręką tworzy i zdąża do niedoścignionego ideału, drugą rozsiewa zniszczenie! I gdy się widzi, z jakim nie sztucznym zapałem umysł ludzki pracuje nad stworzeniem morderczych narzędzi, i sztuką wzajemnych rzezi, mimowoli staje pytanie: Czy cindnadel i kartaczownica, nie jest ostatniem słowem naszéj cywilizacyi, i czy ich większa lub mniejsza doniosłość nie jest miarą potęgi człowieka?

Po długiéj, cichéj i szlachetnéj pracy, w chwili kiedy naród owoców jéj kosztować zaczyna, strzał armatni odrywa go od téj uczty i rzuca do zwierzęcéj walki.

W jednéj chwili wszystkie ogniwa społeczne pękają — cały zasob sił materyalnych i moralnych tonie w morzu krwi, i człowiek z godłem źle pojętéj dumy narodowéj i zwierzęcą chciwością rzuca się do walki wołając: Dla szczęścia mego kraju! Nie miejsce tu rozstrzygać kwestyę wojny i pokoju — są walki usprawiedliwione, są i potępienia godne. Rozmyślają wprawdzie umysły szlachetniejsze nad ich usunięciem, ale rozmyślania te dziś jeszcze do krainy marzeń zaliczyć potrzeba. Ale, któż wie jednak, że ten obraz straszny z najstraszniejszych wojny, na jaki w ostatnich czasach patrzyliśmy, nieprzekona ucywilizowane i swobodą cieszące się narody, że walka i rywalizacya ich potęgi, nie na krwawem polu rozstrzygać się powinna.

Lecz wróćmy do przedmiotu! Okręt nasz posuwając się zwolna, oddalał od brzegów Europy. W odległości stu mil francuzkich, łożysko Oceanu nagle się zmienia — z głębokości 365 metrów, przechodzi do głębokości 3,650. Spuszczenie liny w tém miejscu było bardzo niebezpieczne. Szesnastego Lipca szczęśliwie miniono to pierwsze niebezpieczeństwo. Siedemnastego okręt płynął na głębinie czterech tysięcy metrów — lecz od tego miejsca dno zaczyna się zwolna w górę unosić i przechodzi na płaszczyznę, któréj głębokość do trzech mil francuzkich dochodzi.

Po minięciu tego niebezpieczeństwa zbliżono się 22 Lipca do fatalnego punktu, na którym przy zakładaniu zeszłego roku po raz pierwszy lina pękła. Od brzegu oddalała ich przestrzeń 450 mil francuzkich. W tém miejscu, w rozciągłości 120 kilometrów Ocean dochodzi głębokości, w któréj najwyższa w Europie góra Mont-Blanc z całą swoją podstawą i wierzchołkiem zanurzyłaby się w wodzie. Lecz zręczność zwalczyła wszystkie przeszkody i linę przeciągnięto przez tę otchłań.

25. zbliżono się do Nowéj Ziemi. Był to ranek! Okręt,

„Omglił się dymem, dział rozesłał huki:
„I w tenczas niby szatana był tronem,
„Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo,
„Wszystkie go maszty witały pokłonem:
„A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
„Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
„Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
„Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
„Niema wyrazów, język nie zaskarbny
„Malować słońcem ukazane czary.
„Jako rozkwitłe Nilu nenufary,
„Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;
„Jak odświeżone muszle i kamyki
„Pieszczotą fali — tak na cichéj wodzie,
„Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
„Spłynęły żaglem oskrzydlone łodzie.“

Mgła więc zimna i gęsta pokrywała fale. W tém przejściu trzy okręta poprzedzało olbrzyma — co dziesięć minut rozlegał się jako znak ostrzegający huk armaty.

Nakoniec — 27 o południu jeden z okrętów dotknął ziemi i w tymże dniu, wieczorem jeszcze połączył koniec liny z ziemią. Komunikacya między Nową Ziemią i Irlandyą była dokonaną i depesze funkcyonowały już bez najmniejszéj przeszkody. 31 prezydent Stanów Zjednoczonych przesłał list składający się z 81 wyrazów, czyli 405 liter. Depesza wyszła o godzinie 3 i minut 51 — i w jedynaście minut doszła przeznaczenia. Rezultat ten był znacznie korzystniejszy od prób z roku 1858. W Londynie uświęcili wypadek ten wielką uroczystością, na któréj kawałki małe liny sprzedawano po 2 gwineje, czyli 53 franków, jako medale pamiątkowe.

W ten sposób dokonane było połączenie elektryczne dwóch kontynentów.

Co do kwestyi czasu, koniecznego na przebieżenie znaku telegraficznego w rozciągłości 800 mil francuzkich, nie była jeszcze ona ściśle uchwycona. Ponieważ chronometryczne zegary nie mogły na dwóch stacyach być równocześnie sprawdzone bez różnicy przynajmniéj sekundy jednéj, z tego względu była niemożliwość wymierzenia dokładnego. Ale od chwili kiedy zerwana lina z r. 1865 była wydobytą i kiedy w przeciwnym końcu połączono obie, w sposób, że razem przedstawiały podwójną szerokość Atlantyku, czyli 1800 mil, przekonano się, iż najmniejsze działanie elektryczności, do przebieżenia téj odległości potrzebuje czasu mniéj niż sekundę.

Lina która łączy Francyę z Anglią, jest obwinięta grubym drutem żelaznym. W pięć lat po jéj założeniu, rdza większą jéj część wyżarła. Zniszczenie pochodzące od kołysania się przy poruszaniu wody, niczem jest w porównaniu téj siły destrukcyjnéj. (Dokończ. nast.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Odciągnął na bok Margockiego.

„Ależ to dziewczyna!“ zawołał, „ah! ça! jeśli to ta o którój mi mówiłeś, że się masz starać ochotę — je vous en fais mon compliment, jak poziomka... Tylko, savez-vous coś bardzo śmiało patrzy...“

Margocki stał olśnięty także i napuszony nieco.

„Hrabio — jeśli mi trochę pomożecie — będzie moją. Tylko starego trzeba nastraszyć odebraniem dzierżawy i procesem przy wyjściu, a wezmę ją... i będę wam wdzięczen do śmierci.“

Zamyślony hrabia nic nie odpowiedział — potém się zwrócił do Margockiego: „Czy i posażna?“ spytał.

Plenipotent nie zastanowiwszy się szepnął: „sto tysięcy talarów.“

„Dla ciebie!!“ rzekł hrabia, „a toć to niebiosa by się otwarły!... tu ferais le grand seigneur a ton aise, avec cent mille — pardieu — sachant le faire sans sous ni maille.“

Ostatnie wyrazy były impertynencyą, ale Margocki od dobrych swych przyjaciół przyjmował wszystko jak teraz skrzywionym uśmiechem.

Tymczasem Zosię zaczepiała hrabina, nie mogąc inaczéj, po francuzku, gdyż w polskim języku zaledwie się z lokajem i ogrodnikiem rozmówić mogła. Zosia mówiła pięknie i łatwo, nie zakłopotało ją to bynajmniéj.

„Słyszałam że pani jesteś bardzo muzykalną“, rzekła, „to mnie cieszy, z trochę egoistycznych powodów. Carita... muzykalna także, na cztéry ręce ani umie ani chce grać... a ja to tak lubię!!“

„A pani“, odpowiedziała Zosia, „ja i muzykalną tak bym się ośmieliła popisywać, nie jestem, i na cztéry ręce nie grywam wcale.“

„A, moje dziecię — to będzie dla ciebie z korzyścią gdy się nauczysz, a ja ci z przyjemnością służyć będę za nauczycielkę... Wiesz że moim był ten nieoszacowany, dobry, genialny nasz Abbate, Monsignor Liszt.“

„Wiem pani i to mnie tém większym strachem nabawia!“

„A lubisz muzykę?“ spytała hrabina.

„Któżby muzyki nie lubił!“ zawołała Zosia, „muszę się jednak przyznać, że ona dla mnie jest miłą życia przyprawą, ale samém życiem... nie...“

Hrabina trochę zdziwiona wyrażeniem, spojrzała przez lornetkę jakby twarzą powiedzieć chciała: bardzoś śmiała, moja panienko...

Carita téż z uwagą zaczęła się przypatrywać dziewczęciu.

„Nie dziwię się“, zaczęła powoli dostojna pani, „że panna Zofia, acz lubi muzykę, nie roznamiętnia się dla niéj. Na wsi... nie słysząc wirtuozów...“

„Ja pani“, przerwała Zosia, „słyszałam ich trochę...“

„A! gdzie!“ z lekką ironią spytała pani.

„W Paryżu i we Włoszech...“

Hrabina, która nie wiedziała iż Zosia z ojcem tę podróż odbyła, pokiwała głową.

„Wielkie to szczęście świat widzieć szerszy i wyżéj pod wszelkiemi względami stojący od naszego biednego zakątka.“

„A! pani! ale to kątek najmilszy w świecie, bo to ziemia nasza, bo to Polska — ojczyzna...“

P. Klara zbladła, milczenie głębokie panowało chwilę, wszyscy czuli się zakłopotani tym wystrzałem szowinizmu biednéj Zosi, która dojrzawszy łatwo skutku wywartego, uśmiechnęła się nieco — nie zmięszała wcale.

„Tak! święte to uczucie przywiązania do kraju“, lodowato mówiła hrabina, „ale ono nas zaślepiać nie powinno! Myśmy jeszcze tak nizko.“

„Aleśmy byli wysoko“, odparła Zosia śmiało, „a i wspomnieniami żyć można.“

„Bardzo rezolutna!“ szepnął młody hrabia Margockiemu.

„Mais elle est charmante la petite avec son patriotisme si naif et si bien senti!“ szepnęła półgłosem stara hrabina do Carity, odpowiedziawszy wprzód Zosi grzeczném słówkiem.

Panna Klara napróżno dawała znaki siostrzenicy, nic one nie pomogły. Rozmowa która się stała powszechniejszą, dozwoliła Zosi równie stanowczo i oryginalnie odezwać się kilka razy. Ciocia była pewną że się dziecię gubi — truchlała — tymczasem — stało się co się często dzieje, hrabina, młody hrabia, znudzeni monotonią codziennego swego towarzystwa, serwilizmem otoczenia do którego nawykli, znaleźli Zosię nadzwyczaj miłą, dowcipną i — zachwycającą. Zosia, która sądziła sama iż zrazi ich do siebie — pociągnęła... Śmielszy ton jéj odpowiedzi poprowadził rozmowę z wybitych kolei zwykłych, na nieco świeższą drogę... Ożywili się wszyscy... rozweselili i hrabina w końcu poszła aż uściskać Zosię.

Potém poprowadzono ją do fortepianu — ale wymówiła się od grania. Nieszczęśliwa służebnica Carita musiała usiąść posłuszna i grać coś Chopin'a, coś Henselt'a... Dała się nawet uprosić sama pani i zagrała Liszta ustęp z węgierskiego Rapsodu... z wielką siłą i wyrazem... Po tych dwóch wystąpieniach, gdy bardzo nalegano na Zosię, wymawiała się nieco — ale sądząc że byłoby zbytkiem miłości własnéj nie dać się słyszeć, rzekła w końcu:

„Ja, jako niedawna pensyonarka... cóż zagrać mogę... niestety! chyba oklepaną Beethovena Sonatę.“

„Oklepaną! powiedz nieśmiertelną“, przerwała Carita, „i graj pani.“

Tę Sonatę — jedną z najtrudniejszych, którą nieraz

Liszt grywał na koncertach, Zosia odegrała z zapałem wielkim i wybornie.

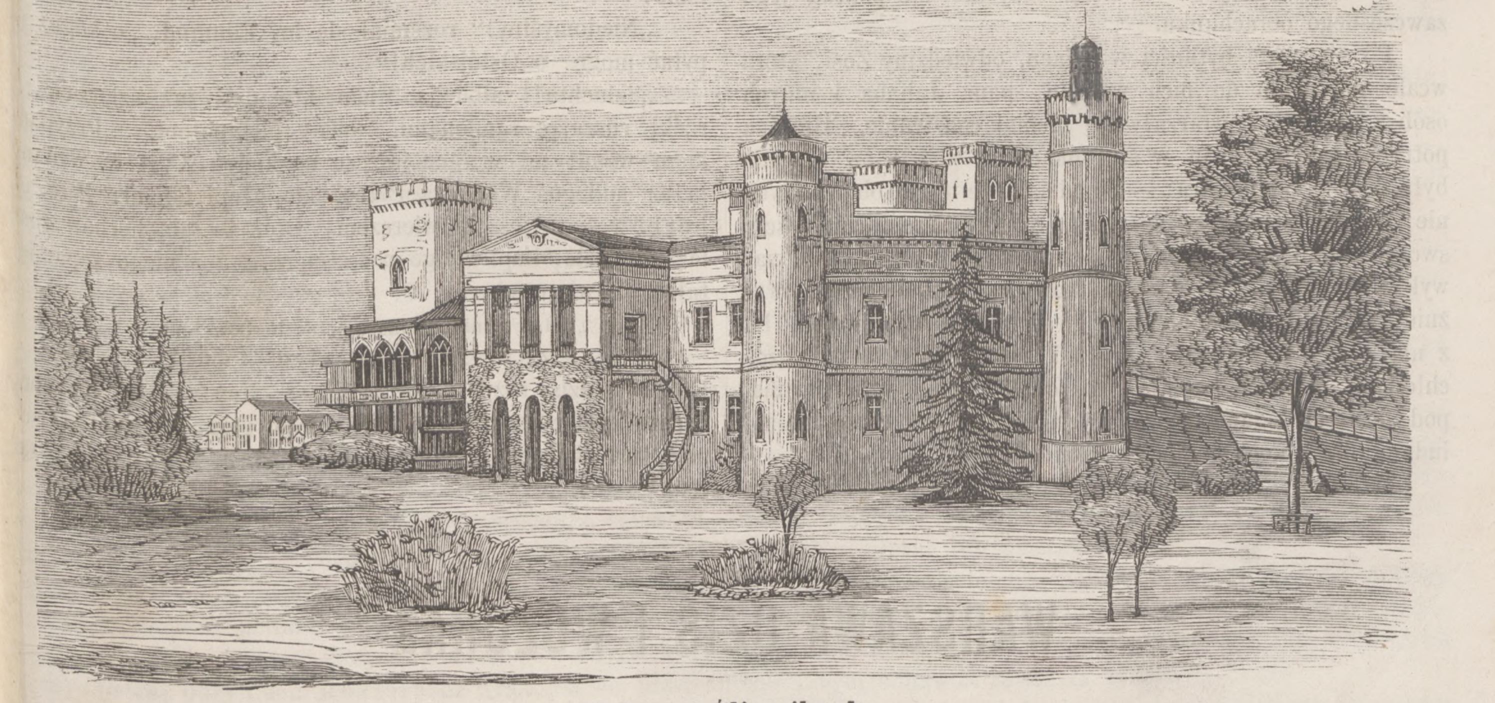
Hrabina, która słuchała z uwagą i przejęciem, wstała potém poważnie, przyszła do niéj i ściskając jéj rączkę rzekła: „kto tak gra tę Sonatę, ten wszystko grać może."

„Prócz rapsodyi Liszta", odpowiedziała Zosia śmiejąc się.

Wieczór i herbata, które obiecywały się nudno i śmiesznie, wypadły dzięki Zosi tak szczęśliwie, przeleciały tak chyżo, iż gdy się żegnać przyszło — niepostrzeżono jak strasznie późno było.

Czas dla nikogo nie został stracony oprócz Margockiego, który doznał zawodu. Skromniejszéj roli spodziewał się on dla Zosi, a świetne przyjęcie odsunęło ją od niego. Zbliżył się za to hrabia, okazując wielkie zajęcie tą „śliczną ta, do rozwijającego się pączka... Carita do kwiatu który omdlał na łodydze. W pierwszéj życiu wszystko było nadzieją, w drugiéj wiele tajemnicą i wspomnieniem. Julian sentymentalnym nie był wcale, medycyna uczyniła go nawet dosyć rozczarowanym — ale młody... doznawał od tych oczu zabójczych jakiejś gorączki, która aż w poezyę go rzucała.

Nie podobało mu się zresztą że Carita była tak dziwnie dlań, tak wyszczególniająco grzeczną. Margocki który patrzał z boku uśmiechał się mefistofelesowskim śmieszkiem — Zosia widziała także iż Julian był prawie ciągle z tą Włoszką, która się jéj téż wydała strasznie piękną — serce się jéj ściskało, ale im mocniéj ból czuła tém usiłowała być weselszą. Niepokój, zazdrość, smutek wybuchnęły dopiero



Pałac w Śliwnikach.

(Rytowano w drzeworytni Sobótki.)

dzieweczką wiejską."

Kanonik po krótkiéj rozmowie z hrabiną i Ostójskim, wysunął się na plebanię. Wikary, domowy prawie pozostał do końca z ironicznym uśmiechem, ze złośliwym twarzy wyrazem śledząc spojrzenia i ruchy.

Julian byłby zupełnie zapomnianym gdyby nie Carita. Jakoś się tak złożyło i składało, że litościwa panienka była albo blizko, albo koło niego, lub przy nim. Mówili wiele i po cichu; jeszcze więcéj ona wpatrywała się w niego natrętnie, nielitościwie tak, iż często medyk obawiając się fizyologicznych jakich następstw niepotrzebnych, oczy spuszczać musiał. Carita była tego wieczora tak prawie piękną jak Zosia, w innym tylko rodzaju. P. Ostójska podobną była, wedle starego porównania jeszcze z czasów Anakreonłzami, gdy powróciwszy na folwark, pomodliwszy się długo, długo, poduszkę swą oblała płaczém nieutulonym.

Panna Klara która zrazu przygotowaną była do kłótni, do nauk, musiała milcząco przyznać że Zosi się — udało. Ostójski tryumfował.

„Ja mówiłem", szepnął siostrze dając dobranoc, my wszyscy przy niéj głupi... to dziewczyna genialna! Ty jéj daj pokój! to! to! wie ona co, gdzie, jak powiedzieć, i jak się znaleźć..."

P. Klara ruszyła ramionami i pokiwała głową.

„Przyszłość okaże!" odezwała się patetycznie odchodząc.

Rachuby ludzkie, chociaż by one na najgruntowniejszych oparte były podstawach i umysł nad niemi najlogiczniejszy pracował, chybiają prawie zawsze. Mówiąc językiem

matematyków mają one w sobie zawsze zbyt wiele liczb nieznanych, ażeby dobrze wypaść mogły. W rachunek wchodzi serce ludzkie, które najczęściéj zawodzi, charakter który podlega wyjątkowym i nieobliczonym metamorfozom, wreszcie zewnętrzne wpływy, zupełnie nieprzewidziane. Niezmiernie więc rzadko to co człowiek osnuł pracowicie, spełni się po jego myśli, a najdziwniejsza to, że gdy cel osiągnie, znajduje iż to czego pragnął wcale jest czém inném niż się spodziewał. Fatalizm turecki jest niedorzeczny, ale wiara w rozumną opatrzność nieuchronna. Jest bowiem w sektach logika uderzająca, choć czasem nie rychła i z Heglem powiedzieć można zawsze — alles war ist, ist vernünftig. My powiadamy lepiéj a toż samo — Bądź wola Twoja.

My powiadamy! Tak napisaliśmy wprawdzie, ale jakże rzadko powiadamy, bądź wola Twoja, a jak częściéj daleko: bądź wola moja!

P. Margocki nasz właśnie podług téj woli swéj osnuł plan kampanii, któréj pierwsze zaraz wypadki, dały mu niezmiernie do myślenia. Szło wszystko nie podług jego zawczesnego obrachunku.

Po pierwszéj bytności w pałacu, odwiedziny Zosi, która wcale nie czuła do nich wstrętu, pana Juliana i innych osób z okolicy, powtarzały się niemal codziennie. Hrabina potrzebująca rozrywki w stosunkach u wód i na wsi nie była zbyt przebierająca; — wiedziała że to za sobą żadnych nie pociąga następstw — Zosia ją bawiła oryginalnością swoją, Julian się jéj podobał zarówno jak Caricie. Nie nawykła do ludzi z tego świata który wszystko bierze poważnie i do serca, znajdowała go wyższym nad innych, bo z nią nie grał komedyi miłości i był grzeczny a na pozór chłodny. Włoszka wolała ten chłód pełen uszanowania, pod którego lodami czuła gorejące żary, niż czcze umizgi ludzi, którzy kochać nigdy nie mogli.

W czém się najfatalniéj przerachował, jak mówią, Margocki, to w wypuszczeniu z klub swoich młodego hrabiego. Tymczasem hrabia Edmund od pierwszych odwiedzin Zosi mocno się nią zajął. Margocki nie przypuszczał żeby to na seryo czémś innem być mogło, nad płochą zabawkę, ale go to niepokoiło... Ile razy się spotkali hrabia mówił, rozpytywał tylko o Zosi, nareszcie jednego dnia niespodzianie oświadczył że wypada mu za matkę i za siebie być z odwiedzinami na folwarku, zabrał Margockiego i pojechali.

Zosia przyjęła ich ani zdziwiona, ani do zbytku tym honorem przejęta, a choć ojciec i ciocia występowali tak że cały dwór się poruszył i tysiące bąków postrzelano z wielkiéj gorliwości, ona pozostała po swojemu, wesołą, grzeczną ale bynajmniéj nie poruszoną.

Wróciwszy z tych odwiedzin, nazajutrz gdy Margocki przyszedł rano do hrabiego, zastał go zadumanym w fotelu i pierwsze pytanie jakie usłyszał, było:

„Mój Margocki, czy téż oni są szlachta?“

„Kto?“ spytał zdumiony Margocki, „alboż wiem o kogo idzie?“

„Niedomyślny!“ rozśmiał się hr. Edmund, „o kogoż ja pytać mogę? o Ostójskich!“

„Szlachta!! albo ja wiem kto dziś już szlachcic...“ rzekł ruszając ramionami kwaśny plenipotent. „Przypadkiem wpadł mi w ręce jeszcze na końcu XVII w. wydany przez jakiegoś Wacława Potockiego głupi foliant: Poczet herbów, i to jeszcze wierszem. Otóż że tam herbów znalazłem wiele, kupiłem go u Lissnera... a z niego zapamiętałem te wiersze:

„Pełne tytułów ściany, pełne herbów płatwy,
„Gdzie miały być nożyce, koziki i dratwy...

Któż to dziś rozpozna szlachcica? Każdy dziś kto chce wpisze się w bractwo które otworem stoi. — Czy Ostójscy od Ostoi pochodzą? dalipan nie wiem... Może!! nie pytałem go o to...“ (C. d. n.)

WARSZAWA DZIŚ I WCZORAJ

przez

Starego Mieszczanina.

IV.

Ostatnie chwile Stolicy Rzeczypospolitéj i jéj zmartwychwstanie.

Warszawa, pomimo wspaniałego tytułu stolicy, nieodpowiadała swoją świetnością i rozmiarami, rozległości kraju i jego wielkości. Sześćdziesiąt tysięcy ludności stałéj zaledwie, mieściło się wraz z dworem królewskim w murach Starego-Miasta i przyległych przedmieściach. Dawni możnowładcy zamieszkiwali w swoich pałacach, po za warownemi bramami i murami, które nie tknięte po ruinie szwedzkiéj pozostały.

Ale wówczas szlachta polska nie cierpiała miejskiego życia; — rodząc się, żyjąc i umierając w obszernych gniazdowych dworach przodków modrzewiowych, czy murowanych, a zaglądała do stolicy na sejmy i elekcye. Pozbywszy téj troski z głowy, ochoczo zawracała do siedzib swoich, gdzie wolne zajęcia, myślistwo i sąsiedzkie nawiedziny i odwiedziny najprzyjemniéj czas skracały. A te zajęcia i rozrywki tak wypełniały każdego ziemianina życie, że nie było czasu do czytania i umysłowéj pracy. Kalendarz — a czasem coś z utworów Krasickiego, dla starców zaś dawny jaki kronikarz to wystarczało aż nadto na duchową strawę. Naukę i czytanie pozostawiała wiejska szlachta księżom i panom.

Dwa rozbiory narodu polskiego przygotowywały niejako umysły do ostatniego, w którym imię nawet Polski z karty europejskiéj wykreślono. Stanisław August, który głośno dał się słyszeć, że będzie królem, chociażby na tak małym kawałku ziemi polskiéj jak jego trójgraniasty kapelusz — nie miał i takiéj odrobiny. Podpisawszy haniebne rozbiory

własnego państwa, stósownie do danych rozkazów wyjechał do Petersburga, i tam w niewoli nędzny swój żywot zakończył, — a Warszawa zajęta przez Prusaków, straciwszy tytuł stolicy, została jako miasto prowincyonalne. Z upadkiem całego narodu, ruina na jéj murach zatknęła swój zwycięzki sztandar. Do razu ustał gwar pełen życia: okazałe gmachy magnackie i liczne domy opuszczone przez mieszkańców — opustoszały; a najpierwéj i wydatniéj najdumniejszych i najbogatszych Radziwiłłów, dwa Pałace: (dzisiejszy Paca na ulicy Miodowéj i na Krakowskiem przedmieściu Namiestnika).

Właśnie w roku 1794, ów książę Panie Kochanku, dotknięty ślepotą, zakończył życie na zamku w Biały Radziwiłłowskiéj na Podlasiu. Z jego skonem cała fortuna monarsza, zaczęła się rozsypywać jakby budowa wyniosła z kruchéj gliny wzniesiona. Następca jego synowiec książę Dominik, marnotrawił po książęcemu, i nie miał już czasu ani pieniędzy podtrzymać od upadku dwa te w Warszawie pałace swoich przodków. Nie długo téż poszły w ruinę, jak cała fortuna Radziwiłłowska. — Przybyła nowa ruina w mieście, ów dom przy ulicy Podwale, przechodzący aż do Miodowéj na prost kościoła Kapucynów, który zajmował generał Igelstrom w czasie powstania Warszawy w Wielki Czwartek 1794. Tu się on długo bronił, ale po walce zaciętéj i krwawéj, gdy działa polskie zaczęły szczerbić jego mury, a natarczywość ludu w szturmach coraz gorętsza, uszedł skrycie przebrany, pozostawiwszy dwa bataliony piechoty, które wzięto do niewoli. Zniszczony dom ten, stał ze śladami bojowemi na sobie przez ciąg lat długi, i dopiero w pierwszych latach Królestwa kongresowego odnowiony i zamieszkały został.

Prusacy zająwszy część tę Polski do któréj i Warszawa należała — zaprowadzili swoją administracyę i urzędników. Dwór królewski rozbiegł się na wszystkie strony Polski — zarówno z tymi, których z nim łączyły ściślejsze stosunki. Kamienice zajmowane na roczne lokale stanęły pustkami — i tylko zajazdy dla szlachty wiejskiéj, chwilowo bawiącéj w mieście, zawsze pełne i zajęte były. Domy, które dziś mają wartość do miliona złotych polskich (Pod filarami na Miodowéj ulicy i dom Rezlera na Krakowskiem przedmieściu, przechodni) wówczas ofiarowano po trzydzieści i niecałe czterdzieści tysięcy złotych polskich. W pałacach panów polskich na pobliższych przedmieściach bramy stanęły otworem: milczenie grobowe zaległo wspaniałe ich sale i komnaty, a trawa i zielsko bujnie zarosły brukowane dziedzińce i podwórza.

Dwanaście lat w takiem opuszczeniu i upadku pozostawała dawna stolica Rzeczypospolitéj, kiedy w niéj niespodzianie w Listopadzie 1806 r. zajaśniał zwycięzki sztandar Napoleona pierwszego, i zmienił jéj stan, powołując znowu Warszawę na stolicę małego Księstwa Warszawskiego, jako wykrawka z całéj Polski dawnéj.

Krótkie dzieje tego państewka, pełne najcudniejszych przykładów bohaterstwa i poświęcenia, należą do kart historyi narodowéj: będą one jaśniały, nigdy nie przygasłą aureolą patryotyzmu. Warszawa pomimo to mało zyskała. Wprawdzie przy organizacyi nowych władz, domy puste wypełniły się mieszkańcami, którzy stale zmuszeni byli przebywać w mieście — ale nic nie przybyło ani z kamienic, ani porządków, gród ten podnoszących. I nie dziwota, czasy to były wojenne i po walce, gdy krótko wytchniono, następowała nowa. Tak boje staczano w 1809. — aż kampania 1812 roku, zadając straszną i niepowetowaną klęskę zwycięzkim orłom Napoleona pierwszego, zapowiedziała nowe zmiany losu Warszawie.

Ruiny pałaców Radziwiłłowskich coraz się zwiększały, jak i domu na Podwalu: inne magnatów siedziby sprzedawano w prywatne ręce, a w wielu obszerne dziedzińce trawa i zielska wybujałe przy upadku Rzeczypospolitéj, po staremu z wiosną zieleniły i coraz więcéj bujały.

Zwycięzca dumny Europy siedział już na samotnéj wyspie Świętéj Heleny, rozpamiętywając błędy swoje równie genialne, jak i działania genialne. Wówczas przyszło mu na pamięć i owe Księstwo Warszawskie, którego gdyby rozszerzył granicę, klęska jakiéj doznał w Moskwie byłaby do naprawy, i nie przywiodła do tak strasznego upadku.

Na kongresie wiedeńskim utworzono Królestwo polskie, i zabrano z niego część trzecią, resztę tytułem tylko wynagrodzenia. Stolicą tego królestwa została Warszawa. — Od téj doby zaczyna się jéj wzrost i rozwój, który powoli do dzisiejszego doprowadził wzrostu.

Zburzono dwie ostatnie bramy i baszty pozostałe z dawnych fortyfikacyi, odkryto plac przed Zamkiem królewskim, a przy nim, od Wisły zaczęto budować wiszące ogrody, dając wijadukt łączący ulice nadrzeczne z sobą; nad jego sklepieniem ogród zasadzono.

Nowy-Świat, ulica pusta dotąd wiodąca do Alei, zaczęła się zabudowywać. Kościołek mały pod wezwaniem Śgo. Aleksandra stanął na placu przy Trzech Krzyżach; zaczęto staranniéj oświecać miasto, i poczęto brukować ulice błotne lub piasczyste.

Ludność po ustaleniu pokoju, z dniem się każdym zwiększała, a przy nowéj organizacyi Królestwa i władz krajowych, po założeniu uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa nieznanym oddawna zawrzała życiem.

Pierwszych lat pięć od ogłoszenia Królestwa w niczém prawie nie zmieniło jéj fizognomii, ale przez następne lat dziesięć do 1830 roku, szybko się rozrastać zaczęła, i przybierać postać miasta więcéj europejskiego, głównie téż od czasu, gdy drogi bite (szose) wyprowadzone w Podlasie i Kaliskie, ułatwiły komunikacye z krajem i zachęcały do częstszych odwiedzin Warszawy. Do Siedlec bowiem mil dwanaście trzy dni droga zajmowała: po drodze bitéj tylko tyleż godzin swojemi nawet końmi, dziś koleją żelazną we dwie godziny stajemy w dawnéj stolicy województwa Podlaskiego. W tych to czasach społeczność starego grodu dziwnéj uległa zmianie, tak w postawie zewnętrznéj, jak i stronie duchowéj; tę zmianę warto zapisać, bo należy ona do wybitnéj karty historycznéj, w któréj badamy nowe rysy charakterystyki, i zatarcie się dawnych cech narodowych.

Z KORDOWY.

Paraiso de la tierra...

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku!
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku,
Niech Kastaniety cię do marzeń niańczą!...

Cóż, że tam zdala, za Sierra Moreną,
Lud tron obala i Burbonów imie! —
Twojéj wolności, żadnéj zbrodni ceną,
Żaden ci tyran nie wydrze, olbrzymie!...

W twoim meczecie*) leży Alba w trumnie;
Oprócz Kordowy, światy przed nim drżały...
Twym wałem — góry, co tak sterczą dumnie
Jakby w ich łonie wieki skamieniały!

W Gwadalkwiwiru otchłani przezroczéj
Kąpiesz swe mury, Maurów Alkazarze!...
Po twych zwaliskach młody pieśniarz kroczy
I twoje dzieje pisze... na gitarze!...

Kordowo! dawniéj byłaś panią światów —
Ludu miliony legły twe ulice...
Dziś w twych ogrodach pustych, wśród granatów,
Jak z alabastru kąpią się dziewice!...

Dawniéj świat sławił twych synów imiona:
Averroesa, Senekę, Gonzala...
Dzisiaj samotna romanza stęskniona
Nad tém co było cicho się użala!

Ale ja wolę huryski i pienie —
Wolę z marmuru wyciosane wanny —
Wolę różami pachnące strumienie
I aż do niebios bijące fontanny. —

I u tych fontan dumające dziewy —
I przy tych dziewach hidalgi wspaniałe —
Wolę miłością nieśmiertelne śpiewy,
Nad twe Seneki i nad twoją chwałę!

Bo jak wiatr liście z twoich palm odziera,
Tak dziejów karty zrywa czas morderca.
W ludzkości tylko młodość nie umiera,
Tylko nie giną kochających serca!...

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku,
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku
Niech Kastaniety cię do marzeń niańczą!...

Cordova, na grobie Alby,
18. Październ. 1868.

HENRYK MERZBACH.

*) La Mezquita.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez
Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.
(Dokończenie.)

XIV.

Proboszcz wywiązał się skrupulatnie z danego Janowi przyrzeczenia. Stanisław kontent z pewnego urozmaicenia, jakie mu się tym sposobem nastręczało w dość jednostajnem małowolskiem życiu, z ochotą przyjął zaproszenie na śniadanie.

Nie przewidywał wcale, że dzień jutrzejszy wcale dlań łatwym i wesołym nie będzie, lecz że go za to prócz śniadania niejedno jeszcze zajście ma urozmaicić.

Z samego rana odwiedził go major, w wiadomym nam już interesie.

Zajście z Ignacym było takie drobne, że nasz bohater zapomniał już o niem zupełnie, łatwo więc pojąć z jakiem zadziwieniem spostrzegł się za nic wyzwanym na pojedynek.

Rozsądni ludzie nie mają zwyczaju robić wielkich rzeczy z małych, choćby te małe miały nawet prowadzić wprost do orężnego spotkania. Bohater nasz zrozumiał odrazu że Ignacy chce się z nim strzelać, że go uważa za przeszkodę w swoim romansie, że z nim oczywiście szukał zaczepki, że zatem od pojedynku nie odstąpi, chyba w sposób któryby upokarzał przeciwnika. Otóż Kliński żył już dość długo i dosyć ocierał się o ludzi, żeby mógł nie wiedzieć iż na takie postanowienie nie ma rachunku. Z takim kto się uparł strzelać, trzeba się strzelać, a im dłużéj się to odwlecze tém gorzéj. Można było wytłómaczyć majorowi, że całe zajście nie warte było krwi rozlewu, można było wyjaśnić, że w tego rodzaju uwagach jakie Stanisław porobił, nawet myśli o obrazie nie było i być nie mogło, byłby to zapewne środek dostateczny na chwilę, ale w godzinę potém ośmielony jeszcze bardziéj Ignacy, widząc niechęć do strzelania się w przeciwniku, byłby poszukał drugiéj, gwałtowniejszéj zaczepki, byłby boleśniéj nastąpił mu na pięty, i powtarzałby to póty, dopóki by go nie zmusił do ucieczki albo do walki.

Stanisław wyrozumował to sobie bardzo prędko. Naturalnie, nie uśmiechała mu się myśl, że albo sam okaleczy Ignacego, albo przez niego okaleczonym być może, sądził jednak, że całe zajście nie będzie tak okropnem jeżeli weźmie je dosyć lekko i nieda poznać po sobie, że go zatrważa i że wolałby go uniknąć.

„Na placu boju,“ pomyślał, „znajdę przecież sposobność rzucenia słówka, że za parę dni wyjeżdżam stanowczo i na bardzo długo z Małéj Woli. Przeciwnik mój

spostrzeże wtedy, że się pomylił, że mnie niesłusznie chce zastrzelić, że niepotrzebnie naraża się na moją kulę... Jeżeli, jak się spodziewam jest prawym i zacnym człowiekiem, to rzuci pistolet i przeprosi mnie... jeżeli przeciwnie, no to mu się należy mała lekcyjka, i tę mieć będzie, bo przecież strzelać potrafię.“

W téj myśli w kilku tylko wyrazach wyraziwszy zdziwienie, że Ignacy tak drobne przemówienia bierze za powód do krwawéj rozprawy, Stanisław przystał na pojedynek, wybierając pistolety.

„Kiedy tak,“ rzekł doń major, „to jedźmy zaraz do Strzegowa... po drodze uprosisz pan sobie świadków, a Cichowski już czeka...“

„Zaraz nie mogę... dałem wczoraj słowo honoru, z którego wprzód wywiązać się muszę...“ odpowiedział z uśmiechem Kliński.

„Jakież to słowo honoru?... jeżeli wolno zapytać.“

„Mam być na śniadaniu u proboszcza.“

Major wytrzeszczył oczy. Pamiętać w takiéj chwili o tak drobnem zobowiązaniu i kłaść je na równi z krwawem spotkaniem, było to w oczach poczciwego żołnierza dowodem jeżeli nie jakiejś lwiéj odwagi, to przynajmniéj prawdziwie żołnierskiéj brawury i lekceważenia śmierci. Stary wojak aż pokochał za to Stanisława, i byłby go uściskał, gdyby go rola sekundanta nie zobowiązała niejako do zimnéj i konwencyonalnéj grzeczności.

Umówili się tedy, że o czwartéj po południu Kliński do Strzegowa przyjedzie, i Stanisław pojechał do proboszcza, a major dosiadł konia i pospieszył do Ignacego, aby mu opowiadać cuda i dziwy o nieustraszonem męztwie przeciwnika.

Co czekało naszego bohatera na owém śniadaniu, czytelnik naturalnie łatwo się domyśli. Proboszcz przyjął go najserdeczniéj, ale Jan, którego Kliński zastać się tam nie spodziewał, był rażąco mrukowaty i chmurny i zabójczemi przeszywał go spojrzeniami.

„Musi już wiedzieć o pojedynku,“ rzekł do siebie Kliński, którego uwagi te nieprzyjazne spojrzenia ujść nie mogły, „i dla tego tak się przeciw mnie sroży.“

Śniadanie przeszło spokojnie. Jan u proboszcza nie chciał zaczynać, bo duchowny świadek w swym domu mógł słowem kapłańskiem prędko każdą sprzeczkę zagodzić.

Na wyjezdnem dopiero zapytał Klińskiego gdzie jedziesz, w chwili gdy proboszcz zawezwany do chorego w okolicę, pożegnał już swoich gości.

„Do Małéj Woli naturalnie,“ odpowiedział Stanisław.

„Zabrać swoje manatki i wyjeżdżać?“ zapytał z groźnem spojrzeniem Jan.

Kliński spojrzał na niego zdziwiony i odrzekł:

„Bynajmniéj panie... nie spieszy mi się... zostanę tam jeszcze czas jakiś...“

„I pan myślisz, że ja na to pozwolę?“ rzekł Jan, srożąc się jeszcze bardziéj.

Mowa ta i ton jakim były wypowiedziane wskazywały wyraźnie do czego zmierza Stanisław, zrozumiał od razu, że drugi brat szuka zaczepki.

„Oho! i drugi!...“ pomyślał, „to już zaczyna być oryginalne...“

Uśmiechnął się grzecznie i odpowiedział:

„Ja myślę tylko, że pan jesteś zbyt rozsądnym człowiekiem i nie sądzę, żebyś się mięszał w nie swoje rzeczy.“

„Mięszam się w co mi się podoba, mój panie,“ wybuchnął Jan, „i oświadczam panu, że jeżeli dziś jeszcze nie opuścisz Małéj Woli na zawsze...

„Panie, tego zawiele,“ przerwał Jan, zostanę, póki gościnności państwa Sydońskich spodoba się mnie zatrzymać...“

„Ja panu tego zakazuję!“

„Jakiem prawem?...“

„Prawem pistoletu i kuli...“

„No!... jeśli tak,“ odpowiedział śmiejąc się Stanisław, „to bądźże pan ze swoim kodeksem... to jest z pistoletami i kulami, u siebie, dzisiaj o godzinie czwartéj po południu... ja tam przyjadę także ze świadkami i swoje mordercze paragrafy przywiozę... warunki ułożą się na placu... tymczasem żegnam pana...“

To powiedziawszy wskoczył do powozu i pojechał.

„Pyszałek! fanfaron!“ mówił spoglądając za nim Jan, „udaje zucha, ale czy jest zuchem, pokaże się dopiero gdy stanie na przeciwko kuli.“

„Ciekawym jak się to skończy,“ myślał Stanisław jadąc do Małéj Woli, „jeżeli z téj awantury wyjdę cało... a przecież zginąć się nie spodziewam... to się zaznajomię z jakim autorem, opowiem mu całe zdarzenia, niech z tego zrobi powiastkę, tragi-komiczną, pod tytułem: Dwa wielkie pojedynki o jedno małe nic... Bądź co bądź trzeba do końca imponować tym dwóm Marmurkom brawurą.

XV.

W Strzegowie było cicho i spokojnie jak zwykle, żaden z braci nie mówił drugiemu co miało nastąpić o godzinie czwartéj, każdy przemyśliwał tylko nad tém, jakby drugiego na czas téj walki z widowni spotkania usunąć.

Około trzeciéj, to jest o godzinie o któréj zwykle wyjeżdżali do Małéj Woli, Jan zagadnął Ignacego.

„Ja dziś jestem jakoś nie swój, mój kochany, nie mogę pojechać do Sydońskich. Ale ty pojedziesz, nieprawdaż?“

Ignacy zmyślił jakiś interes w okolicy, za którym zaraz wyjechać musi i który mu nie pozwalał pojechać prędzéj aż o godzinie szóstéj wieczorem, i zaczął prosić brata, aby pomimo nieusposobienia stawił się imieniem obu na zwykłą w Małéj Woli wizytę.

„Bah!“ pomyślał Jan, „kiedy on gdzieś wyjeżdża, to już dobrze... sam mi się usuwa.“

Udał tedy, że przystaje i postanowił sobie odjechać pare staj i zawrócić.

„Wybornie,“ rzekł do siebie Ignacy, „wyjedzie... będę sam...“

Wsiedli jednocześnie na konie, i pojechali w różne strony, a po kwadransie powrócili do Strzegowa.

Dwór w Strzegowie miał dwa wejścia. Jednem wszedł Jan, drugiem Ignacy, nie widzieli się wzajemnie.

Jeden zasiadł w jednym z narożnych pokoi i paląc

fajkę patrzył w stronę Małéj Woli czekając przyjazdu przeciwnika, drugi podobneż obserwacye czynił z drugiego okna na innym rogu domu.

Kliński był punktualnym i stawił się na kilka minut przed oznaczoną godziną, zabrawszy z sobą pana Aurelego, któremu powiedział, że go wiezie na preferansa, a w drodze dopiero wyjaśnił, że w puli, którą rozegrać mają, zamiast kart w czterech maściach wystąpią tylko cztery kule.

Panu Aurelemu włosy powstały na głowie, gdy się dowiedział że jest przyzwanym przez człowieka, który się zalicytował tak wysoko, że płatkę mógł przypłacić życiem. Chciał się wycofać, chciał uciekać, ale pan Kliński przykuwał go do miejsca złowrogiem wyrazem:

„Zapóźno... nie opuścisz mnie pan w tak strasznéj chwili.“

Zajechali... nikt nie wyszedł na ich spotkanie, oprócz służby, bo Janowi również jak Ignacemu zdawało się, że im nie wypada przyjmować charakteru gospodarzy w obec człowieka z którym za chwilę wystąpić mają do walki, a sekundanci obu, major i jeden z sąsiadów uproszony przez Jana, spóźniali się.

Major przyjechał pierwszy, w kilku słowach ułożył z panem Aurelim, a raczéj powiedział mu warunki, a potém poszedł do Ignacego.

W chwilę potém przybył i sąsiad uproszony przez Jana, podobnież rozmówił się z panem Aurelim i poszedł do pokoju Jana.

Stanisław nie mięszał się do tych rozmów, a pan Aureli zupełnie do rozgrywania pul pojedynkowych nie wprawny, nie zdziwił się bynajmniéj, że oba pojedynki z jednym przeciwnikiem są wyznaczone na jedną i tę samą godzinę, na jedno i to same miejsce.

Kliński z panem Aurelim pozostali sami czas krótki, poczém z dwóch stron jednocześnie ukazał się major z pistoletami z jednéj strony, z drugiéj uproszony sąsiad także niosący pistolety, — za majorem szedł Ignacy, który z wzburzenia pobladł i spoważniał, za sąsiadem szedł Jan, któremu bliskość walki ożywiła oko i wszystką krew spędziła do policzków.

Obraz jaki się z tąd wywiązał, był tak niespodziewany dla wszystkich bohaterów prócz pana Aurelego i Stanisława, że możnaby go żywcem wpakować do komedyi i na scenie poznańskiéj przedstawić.

„A!... a!... a to co znaczy?“ zawołał Ignacy, mierząc spojrzeniem brata.

„Co to jest?“ zapytał Jan.

Z takich zapytań musiało przyjść do wyjaśnień, a wyjaśnienia czyniły pojedynek niemożebnym. Wydało się wszystko. Jan się dowiedział, że Ignacy jest szczęśliwym i kochanym, Ignacy tegoż samego dowiedział się o Janie, a obaj dowiedzieli się, że sobie chcieli oddać wzajemne przysługi.

Dyplomacya pani Sydońskiéj odniosła tryumf. Obie jéj córki wychodziły za mąż, a Kliński zamiast do pojedynku, został po przeproszeniu i wycałowaniu uroczystem przez obu braci zaproszonym na drużbę.

Więcéj nic dodać nie mamy. Każdy z czytelników z łatwością sobie zaokrągli całość wypadków, których bieg z tragicznéj wyżyny stoczył się nagle na wesołą pochyłość i po téj pochyłości zmierzał nie wstrzymany do szczęścia.

(Koniec.)

Z PODRÓŻY

przez

J. Gordona.

VI.

Finis coronat opus.

Siedmiu zakonników w czarnych sutanach, przyodzianych w płaszcze, prawie wszyscy młodzi ludzie, składali kawalkatę. Przyzwyczajeni do cudzoziemców, zawiązali zaraz ze mną żywą rozmowę. Pierwsze me zapytanie było o kolegę.

„Pan S***,“ odpowie jeden z nich, „znudził się u nas w klasztorze i czeka pana z drugiéj strony góry, w mieście Aost, gdzie mu jest jasno i zielono — słowem we Włoszech. Tam nie tak, jak u nas!“

Zasmuciło mię trochę rozminięcie się z tym bałamutem.

Ale nie mógłem wynaleść lekarstwa coby go uleczyło z niedotrzymywania słowa; postanowiłem zatém odpłacić mu przy sposobności figlem za figiel.

Tymczasem kawalkata nasza rozwijała się do pochodu, mając postępować gęsim krokiem, to jest jeden za drugim. Ale i góral przewodnik, należący do służby klasztornéj, a odbywający codziennie swe kursa w celu odszukiwania zabłąkanych, ukazuje się z trupiarni; a za nim idą dwa ogromne białe psy rasy hiszpańskiéj z żółto-kasztanowatemi łatami, o szerokich łapach i długich włosatych uszach.

Zatrzymałem się na ich widok i pogłaskałem jednego.

„Ładny pies! poczciwy pies! mądry pies!... przyszła mucha do psiego ucha itd.“

Brytan ani się ruszył słuchając z uwagą, jakby rozumiał, że o nim mowa nieznanym mu językiem, a przychylna.

„A czy te słynne brysie rzeczywiście posiadają taki węch, iż odkopują zwłoki zasypane przez lawinę?“

„Jestto nieco ufryzowane przez wojażerów i malarzy“, odpowiedziano, „wszelakoż przyznać trzeba, że są one najlepszymi przewodnikami na świecie.“

I w rzeczy saméj ruszyły naprzód do swego obowiązku, za nimi postępował góral, potém ja, a daléj sznur Augustianów.

Z początku zaledwie ślad stóp ludzkich było znać na śniegu, później kierowaliśmy się tylko po kawałkach drzewa utkwionych co kilkanaście kroków, lecz w wielu miejscach i te wiatr powywracał i zagrzebał — gdy brysie zawsze szły

niemylnie tąż samą, znaną im drogą. Zstępowały z niéj tylko wtedy, gdy im się igrać, kąsać i skakać zachciało; ale na świst górala stawały natychmiast jeden za drugim, jak wyćwiczeni na komendę żołnierze.

Na szczęście droga już nie była długa, atoli przed samym monasterem tak fatygująca z powodu swego prostopadłego prawie kierunku, że pot płynął mi z czoła strumieniami.

Obaczył to góral, dobył flaszkę obszytą w skórę i nalał mi wina do ust, a potém kazawszy się trzymać swego pasa, ciągnął mię za sobą pod górę.

Ujrzałem dopiero klasztor, skoro już znalazłem się tuż około niego. Otaczał go wał śnieżny, odgrzebany od murów, lecz tę ostatnią zaporę przebyliśmy z łatwością.

Klasztor, nie ozdobiony żadną wieżą ani kopułą, wyglądał na pierwszy rzut oka jako szpital lub koszary, pod posępnem, utrudzającem wzrok, ciężkiem ołowianem niebem.

Weszliśmy na obszerny korytarz, do którego drzwi są otwarte we dnie i w nocy dla każdego potrzebującego przytułku, który w téj pustyni, wyniesionéj o siedm tysięcy dwieście stóp nad poziom, ocala często życie.

Zakonnicy rozeszli się po celach, a zjawił się na ich miejsce ksiądz w złotych okularach, w wysokim na głowie kołpaku w kształcie piramidy ściętéj, zagajonéj u wierzchu czarnym do koła pióropuszem (oznaka doktora teologii).

Był to przeor klasztoru OO. Augustianów — przypominał on strojem kapłanów starożytnéj Niniwy.

Uprzejmy przeor wprowadził mię do refektarza, który wcale nie odpowiadał wyobrażeniu surowości, jakie zwykle mamy o zwyczajach mnichów.

Refektarzem był salon gustownie urządzony, bez żadnéj rozpiętéj męki Pańskiéj ani czarnych krzyżów na ścianach i dębowych ławic; lecz przeciwnie, wisiało tam wiele pięknych rycin, a w kącie stał nawet mahoniowy fortepian.

Raptem tedy wkroczyłem ze zdziwieniem z Syberyi do cywilizowanéj Europy, południowéj do tego Europy, gdyż w salonie na mą pociechę dosyć było ciepło. Przyniesiono téż zaraz filiżankę gorącego bulionu, który rozumie się był wyśmienity.

Cela gościnna, gdzie zamieszkałem, podobna do innych tego rodzaju cel, nie różniła się w niczém od owych umeblowanych kawalerskich pokoi, tak znanych naszéj emigracyi w Quartier Latin w Paryżu lub na Batignolach. Dano mi watowany szlafroczek, ogień furkał zalotnie na niskim kominku.

Ach! jakże roskosznie zasnąłem.

Nie obudziłem się, aż gdy zawiadomiono, że obiad gotowy. W refektarzu zebrali się już wszyscy księża w liczbie dziewięciu. Z gości zaś, którenni często w lecie manaster jest przepełniony, pod tę porę nikogo, oprócz mnie, nie było. Rozmowę przy stole prowadzono światową, wesołą i interesującą; wino było nie złe i potrawy dość smaczne.

Dowiedziałem się, że zakonnicy zmieniają się w monasterze z powodu ostrego klimatu, w którym człowiek dłużéj nad lat dziesięć żyć nie może; że widok okolicy klasztornéj, nawet w miesiącu Lipcu gdy śnieg stopnieje, jest przykry i ponury, wegetacya karłowata, od któréj ucieka zabłąkana ptaszyna, a woda w jeziorze zbyt zimna dla przechowania ryby.

Człowiek tylko i pies zamieszkał tę martwą okolicę blisko szczytu góry.

Od czasu założenia monasteru czterdziestu kilku kanoników przełożonych już się tam zmieniło, a reguła ich i gościnność zawsze jest ta sama.

Pokazywano mi przez okno piętrowy dom, w którym po pareset robotników przechodzących Alpy znajduje bezpłatne schronienie. Koszta są pokrywane z kwesty i z darów rzucanych do skarbony wiszącéj przy drzwiach kaplicy, przez możne osoby zwiedzające klasztor.

Po obiedzie zostawiono w refektarzu jednego z młodych zakonników, który mię zajmował miłą gawędką aż do wieczora. Znał on tak dobrze historyę polską, a szczególniéj panowanie Sobieskiego, o którym z dumą jako o obrońcy chrześcianizmu wspominał, iż zapytałem go czy nie jest mym ziomkiem.

„Nie!“ odpowiedział, „ale to wszystko jedno, bo jestem Francuzem; a w długich godzinach na pustelni zajmuję się z przyjemnością czytaniem dziejów zarówno nas obchodzących.

Potém oglądaliśmy księgę wizytową.

Nazajutrz chciałem pożegnać poczciwych księży. Przeor wyszedł ze mną na dwór, podniósł rękę do góry i badał kierunek wiatru; potém ujął mię pod ramię i wprowadził napowrót do klasztoru; choć góral z tyką i psami już czekał przededrzwiami, gotowy do podróży.

W krótce téż śnieg zaczął pruszyć, i jak dobry przyjaciel poczytał sobie za obowiązek przybyć do samych okien klasztoru, aby nas ostrzedz o niebezpieczeństwie wycieczki.

„Jako cudzoziemiec“, rzecze przeor, „nie znasz pan złośliwych figlów gór naszych. Puścić się teraz w drogę mimo ostrzeżenia, które niebo zsyła ziemianom, byłoby to lekceważyć znaki Opatrzności. Zostań z nami do jutra!“

Poszedłem tedy do méj celi.

Samotność; ów stary manaster ze swą kośnicą zaczepiony między ziemią i niebiosami; zalatujący głos mnichów śpiewających monotonną litanię w kaplicy; poświęcenie się ich dla ludzkości wśród téj dzikiéj, snem ujętéj przyrody; — wszystko to budziło myśli poważne i usposabiało do filozoficznych na świat poglądów, do rachunku sumienia swego żywota i do duchownych rekolekcyi.

Tyle przygód, tyle zdarzeń i wypadków! od czasu wydobycia się z kleszczy moskiewskich. A ileż jeszcze czeka ich na ciernistéj drodze w namiocie życia!

A smutno i łzawo tam… w murach mazowieckiéj stolicy, zkąd zgrzyt łańcuchów i dzwonki mknących na wschodnie pustynie kibitek zanoszą jęki aż na górę Śgo. Bernarda.

— O! jakże trudno żyć na tym świecie…

Z tym wykrzyknikiem uleciała młodość moja i poczułem, że zostałem — człowiekiem.

Nabożeństwo Żałobne w Zurichu za duszę ś. p. Bosaka.*)

Generał Bosak-Hauke długi czas bawił pod Zurychem, zostawił tam znajomych przyjaciół i liczne grono Polaków; było przeto rzeczą bardzo naturalną uczcić pamięć szlachetnego rycerza Polski obchodem żałobnym.

Hr. Plater który go urządził, przesłał 19 Lutego zaproszenie do generałów, i 380 oficerów francuzkich, znajdujących się w Zurychu, w którem wspomniawszy o bohaterskiéj śmierci Bosaka poległego za Francyą, i o gotującym się hołdzie pamięci dodał: „śmierć ta jest nowym węzłem pobratymstwa od wieków istniejącego w złéj lub dobréj woli pomiędzy Francyą i Polską.“ Generał dywizyi Teillet Pilanier i generał brygady Robert oświadczyli w imieniu braci oręża jak najżywsze współczucie.

Dzienniki szwajcarskie uwiadomiły publiczność o szczegółach egzekwi, którym dzień 23 Lutego został poświęcony. Przed godz. 10 kościół zewnątrz przybrany w żałobne oznaki i tarczę herbową rodziny hrabiów Hauków, zaczął się napełniać wojskowymi francuzkimi różnych rang; w przeciągu pół godziny zebrało się już 1,200 osób, pomiędzy niemi starszyzna szwajcarska, kolonia francuzka w Zurychu i przeszło stu Polaków. Przed ołtarzem stał katafalk wspaniale przybrany, pośród rzęsistego światła, ozdobiony sztandarem narodowym z roku 1863 z herbem Polski, wizerunkiem Matki Boskiéj i napisem Boże zbaw Polskę. Sztandar ten przybył z Francyi dniem przed nabożeństwem żałobnem, i ofiarowany jest Muzeum historycznemu w Rapperswylu. Mszą żałobną w assystencyi dwóch kapłanów — odprawił proboszcz Reinhard; do muzyki wokalnéj i instrumentalnéj przyczynili się znakomici artyści, pomiędzy nimi p. Małecki śpiewak z talentem.

Po mszy św. Dominikanin wielkiéj wymowy i nauki, profesor w Arcueil pod Paryżem, O. Reynier, uczeń sławnego Lacordaire i wyznawca jego liberalnych zasad, przemówił do licznie zebranych. Z mowy jego wyjątki podajemy:

Panowie! Jest to cecha naszéj Boskiéj religii uświęcać błogosławieństwem śmierć pełną sławy i wydobyć z grobu pocieszającą nadzieję i zbawienną naukę. Za nadto wzniesiona po nad namiętności polityczne, aby mogły w czémkolwiek ją powodować, puszczająca w niepamięć przechodnie ułomności, wyrozumiała w błędach ludzkich, poznaje swoich ile razy znajduje cechy które tylko w duszy prawdziwie chrześciańskiéj być mogą; temi są bezinteresowna miłość ludzi, i duch ofiary który jest jéj charakterystycznem znamieniem.

Z tego powodu, Panowie, kościół zaprasza was dziś do uczczenia waszym żalem i uświęcenia modlitwą, pamięci walecznéj i szlachetnéj generała Hr. Bosaka Haukego, który poświęcił swe życie Francyi na polu sławy.

Spłacając święty dług naszego kraju, pośród jego klęsk, szlachetnemu Polakowi, rozważmy stuletnią niedolę świetnego narodu, tak szlachetnie znoszoną, a to z korzyścią uczynimy będąc sami w nieszczęściu.

Hr. Józef Hauke, bardziéj znany jako generał Bosak, urodził się 19 Marca 1834 roku. W pierwszych latach życia przewieziony został z rozkazu cesarza Rosyi do Petersburga dla otrzymania wychowania moskiewskiego i pozbawienia go wszelkiego patryotycznego wpływu. Wysokie położenie jego ojca, generała w służbie rosyjskiéj i stryja ministra wojny, zapewniały mu świetny zawód; jakoż jego awansowanie było śpieszne. Wychowany w korpusie Paziów, podporucznik w pułku huzarów zaledwie 17 lat mając, został oficerem sztabowym cesarskim, i wysłany do Paryża w misyi wojskowéj. Wróciwszy, otrzymał dowództwo jednego z najdzielniejszych pułków na Kaukazie.

Ktoby mógł przewidzieć że ten świetny pułkownik będzie jednym z wodzów Polski i woluntaryuszem sprawy francuskiéj? Kto nam powie jak dalece wychowanie w Rosyi zdołało osłabić jego wrodzony patryotyzm, i czy sen jego nie był niepokojony widokiem Polski w żałobie?

Tymczasem uwydatniały się w nim dwa przymioty, które zdobiły jego żywot: waleczność powszechnie uwielbiana i troskliwość o dobry byt żołnierza; wkrótce otrzymał tymczasowe dowództwo brygady, a później szpadę honorową ofiarowaną przez W. księcia Michała — hr. Hauke nie miał jeszcze 30 lat.

Pośród tego powodzenia i ogólnego szacunku znalazły go wypadki zbliżające się 1863 roku.

Tu mowca przechodzi do opisania przejść generała w czasie powstania 1863, w czasie emigracyi i wojny Francuzko-Pruskiéj; — nareszcie tak kończy swoją świetną przemowę;

O Polsko! najukochańszo siostro, która jesteś z powodu twych nieszczęść świętą w oczach naszych, dziś stajesz się bardziéj jeszcze z nami spowinowaconą wspólnem cierpieniem. Jeżeli twoi Synowie na ziemi francuzkiéj znaleźli chleb na wygnaniu mniéj gorżki, spłacili twój dług serca, i więcéj jeszcze, krwią twego Syna wylaną dla Francyi!

Niech mi wolno będzie, Panowie, przypomnieć wam niektóre szczegóły téj śmierci, aby uczynić wydatniejszem jéj bohaterstwo.

Dnia 21 Stycznia generał Bosak udał się z Fontaine, pod Dijon, ku Hauteville z drobną eskortą 10 ludzi, dla zrobienia inspekcyi swéj brygady. Zbliżając się do téj wsi, ujrzał bataliony niemieckie których się nie spodziewał. W swéj nieustraszonéj odwadze, nie opuszcza stanowiska i ogranicza się do żądania posiłków z Dijon, a tymczasem rzuca się naprzód dając rozkaz kompanii des Mobiles des Alpes-Maritimes aby go popierała. Wiecie, Panowie, co się daléj stało; ci młodzi żołnierze źle wyćwiczeni i w bardzo małéj liczbie, wahają się, rozpraszają się, a Bosak wkrótce otoczony, umiera z dziesięciu towarzyszami, po najwaleczniejszéj obronie.

Zaiste, Panowie, jeżeli stawiać mężnie czoło, śmierci, w szlachetnéj sprawie, jest czynem bohaterskim, przyznać należy, że okoliczności o których mówimy, robią go jeszcze świetniejszym, ponieważ ani obowiązek, ani uczucie najdelikatniejsze honoru nie wymagały téj ofiary.

Cofnąć się i czekać posiłków dla walki korzystnéj, to było nakazanem, zdaje mi się, przez obowiązek wojskowy; ale bohaterska odwaga jest świetniejszą od najmądrzejszych obrotów wojskowych. Taką była odwaga Bosaka. Byłaż ona lekkomyślną? nie sądzę, i tłomaczę się.

Jeżeli dobrze zrozumiałem ten charakter pełen poświęcenia, Bosak czuł głęboko potęgę i wartość ofiary. Nikt nie idzie na śmierć nieuchronną, nie wierząc w jéj użyteczność; nie można wierzyć w owoc tajemniczy śmierci, bez położenia swych nadziei w Najwyższym Wykonawcy sprawiedliwości, który jeden może osądzić wartość ofiary stosownie do powodów które ją zrządziły.

O mój Boże! Ty któryś nam dał pojąć ofiary potęgę, dozwalając śmierci Boskiego Syna dla odrodzenia świata, i utrzymujesz w Synach Polski krew szlachetną, którą zawsze są gotowi przelewać za świętą sprawę, ty Panie, odrodzisz Francyą przez ten rdzeń obfity ofiary chrześciańskiéj.

A ty któryś dał naszéj ojczyznie świetny poświęcenia przykład, spoczywaj w pokoju, generale Bosaku. Pamięć twoja żyć będzie w naszych sercach tak jak w sercach polskich. Niech żyje dusza twoja w łonie Boskiem na wieki. Ta za któréj sztandarem szedłeś, i którą wzywałeś jako królowę Polski, winna ci opiekę w swem królestwie niebieskiém. Żądałeś sprawiedliwości dla ludu, to jest dla wszystkich; nim się to ziści na ziemi, otrzymasz sprawiedliwość w niebie; sprawiedliwość dla twych cnót, miłosierdzie dla twych ułomności, podług miary twych nadziei.

„Fiat misericordia tua Domine super nos quemadmodum speravimus in te.“

*) Odbieramy od Pana Hr. Władysława Platera z Zurichu list, który w streszczeniu podajemy.

Szarada.

Pierwszą i czwartą nosimy na sobie,
Trzecia i czwarta pomaga w chorobie;
Czwarta i trzecia spoczywa na głowie,
Ale nie w naszéj tylko w obcéj mowie,
Druga z porządku, jeśli wspak weźniemy,
W alfabecie ją z pewnością znajdziemy.
Wszystko, wynalazek od niedawna znany,
W ostatnich czasach często wymieniamy.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 10: *Bogusławski.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu X. Y. Z. na Prowincyi: Słusznie pan twierdzi, że ogłoszanie w dziennikach sztuk, które w ciągu tygodnia lub dwóch mają być przedstawione, byłoby dla publiczności wielkiem ułatwieniem wyboru. Ale jest to dział dzienników codziennych; wyjątkowo dziś donosim mu, że w bieżącym tygodniu na benefis wielce zasłużonéj artystki sceny naszéj panny Joanny Góreckiéj, odegrane będą: Nowe Tajemnice Paryża, Aleksandra Dumasa. O ile wiemy, publiczność licznie zebraną będzie. Do rzadkich nowin teatralnych zaliczyć potrzeba przyjazd na gościnne przedstawienia jednego z najpierwszych artystów polskich p. Rychtera z Warszawy.

Od Redakcyi.

Dla braku miejsca, Opis Pałacu w Śliwnikach, odłożyć zmuszeni jesteśmy do Numeru przyszłego.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)